

Opowiadanie dowcipów o teściowej ma swoją tradycję. Grupy wyrechot wywołać też mogą anegdoty o Wąchocku, babie u lekarza, milicjantach, a ostatnio o komunistach. Niektórych rozbawić może nawet smarkacz z sąsiedztwa ładujący pechowo w środku kałuży. No cóż poczucie humoru to pewien rodzaj dobra osobistego i nie nikomu do tego z czego ten drugi ktoś się śmieje.

Przesadą chyba jest jednak spora, by i teatr fundował nam taką bezmyślną błazenadę, bo choć chwila rozrywki pewnie wszystkim się słusznie należy, to jednak trudne u wierzyć, by na „Titanicu” orkiestra w toptelczym repertuarze miała jedynie polki i oberki.

„Czego nie widać” — wystawione na dużej scenie białostockiego Teatru Dramatycznego, ma być pewnie kasową deską ratunku, z pewnością jednak publiczność w naszym mieście nie ma aż tak prymitywnego gustu, by bawić ją mogła do łez, banalna historyjka o prowincjonalnych, angielskich, komediantach, którzy z premedytacją da-

ją do generalnej wyspy zabawiając po drodze widownię ograny numerami w rodzaju „skórka od banana pod drzwiami kliniki ortopedycznej”.

Realizatorom tego spektaklu zadać należałoby tylko jedno pytanie: „Z kogo się śmiejecie?”. Odpowiedź, oczywiście, paść

tu powinna klasycznie: „Z siebie”.

Farsa Michaela Frayna w białostockim teatrze wygląda na przyczynkę z dziejów tej placówki. Sklerotyczny „ogoniarz” z półwiecznym stażem, jednosezonowe gwiazdki, chałturzący reżyserzy, pekarze i inspicjenci na

scenie — skąd my to znamy? Czy warto się jeszcze z tego śmiać?

Teatralna „kuchnia” nie raz posłużyła różnego autoramentu gawędziarzom do snucia opowieści o legendarnych „wyspach”, kawałach wyciętych kolegom podczas „zielonych” przedstawień. Jeśli histo-

ryki o zamienionych kostiumach spisuje dla potomności Igor Smiałowski to w porządku, jeśli jednak Krzysztof Lawniczak próbuje ośmieszyć pewną manierę aktorską, z jaką sam nieraz zupełnie serio grywał, to wypada to założyć. Podobnie jest z innymi „kreatcjami”. Sceniczna

jakichś tam Mroźkach, mogłaby sobie być najwyżej smacznie podrzędna. Może to i słusznie, by wycieczkom z peegerów, które jednodniowe wypadki do miasta po zakupy obowiązkowo kończą „teatrem”, pokazywać właśnie takie farsy, że jednak będzie gdy komedia ta na dużej rozgości się na deskach dużej sceny. Frekwencja to w końcu nie wszystko, choć wiadomo, że w dzisiejszych czasach o kasie też zapominać nie można. Wypowiedzi nowej pani minister, dla takich prowincjonalnych teatrów jak białostocki, brzmią groźnie, niemniej przedwczesne przekształcanie się (w dodatku dobrowolne) w trupę fikającą koziołki na wzór „Mortalesów” też pewnie nie jest receptą na wyjście z dolka. Bardziej wyrobiona publiczność, po takich doświadczeniach, też może zacząć oszczędzać i to na biletach.

HANKA WARAKOMSKA

Teatr Dramatyczny im. A. Węgierki w Białymstoku, Michael Frayn „Czego nie widać”, reżyseria Wanda Laskowska, scenografia Marek Tomasiak, scena duża, premiera 7 XI 1989.

Fot. Marek Tomasiak

Czego nie widać — lepiej nie oglądać



Vicki — czyli Brooke Ashton — czyli Lucyna Idźkowska zawsze sprawiała wrażenie zagubionej, a Jolanta Borowska od kilku sezonów zawsze gra płaczliwe dziecko nerwowo obgryzające palce.

Być może reżyser Wanda Laskowska po kilku próbach, postanowiła zaeksperymentować pozwalając aktorom po prostu być sobą, niemniej posunięcie to trudno uznać za udane, jako że owe maniere aktorskie dawno nam się już opatrzyły i raczej do płaczu, niż do śmiechu składają.

„Czego nie widać” z pewnością jednak, mimo tak przyziernego rodzaju humoru, pobije kasowe i nie tylko rekordy. Pewnie to i dobrze, że z powodu tego sztuczki progi przybytku muz przekroczy spora rzesza narodu, która na